Nr. 213. We Lwowie Poniedziałek dnia 1. Sierpnia 1892. Rok XXV.

Biuro Redakcji „Dziennika Polskiego“, Plac Marjacki liczba 6 i 7.
Przedpłata wynosi we Lwowie rocznie 18 złr. — półrocznie 9 złr. — kwartalnie 4 złr. 50 ct. — miesięcznie 1 złr. 50 ct., za przesyłkę do domu dopłaca się 20 centów miesięcznie.
Z przesyłką pocztową w państwie austrjackiem, rocznie 24 złr. — półrocznie 12 złr. — kwartalnie 6 złr. miesięcznie 2 złr.
Z przesyłką pocztową za granicę do całych Niemiec rocznie 50 marek — kwartalnie 12 marek 50 fr. gr. do Francji, Anglji, Włoch i Szwajcarji rocznie 80 franków — kwartalnie 20 franków.

Numer kosztuje 6 centów.
Rękopisów Redakcja nie zwraca.
Telefon Redakcji 171.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi codziennie niewyłączając niedziel i świąt o 8. rano.

Przedpłatę i ogłoszenia przyjmuje we Lwowie jedynie i wyłącznie:
Biuro Administracji „Dziennika Polskiego“, Plac Marjacki l. 6 i 7 w domu pana Kiselki.
We Wiedniu: pp. Haasenstein et Vogler, (Otto Maass) M. Dukes, H. Schalek, A. Oppelik, Rudolf Mosse i J. Danneberg; w Berlinie, Frankfurcie, Kolonji, Haasenstein et Vogler i G L. Daube; w Hamburgu: Karoly et Liebmann; w Paryżu: C. Adam, Boulevard Raspail 105 bis et rue des Rennes 119.
Ogłoszenia przyjmuje się za opłatą 6 centów od jednego wiersza drobnym drukiem (petit).
Prywatna korespondencja i nekrologja 12 ct. od wiersza.
Drobne ogłoszenia $1^1/_2$ centa od wyrazu. Pomieszkania i sklepy po 1 ct. od wyrazu.
Reklamy w rubryce Nadesłane 20 ct. od wiersza.

Stosunki pograniczne.

Lwów 31. lipca.

Nowoje Wremja pisze w artykule wstępnym: „Z Paryża przyszedł telegram z zaprzeczeniem nieotrzymanej tu wcale wieści o jakiemś przekroczeniu granicy francuskiej przez żołnierzy niemieckich. Zaprzeczenie wychodzi z Nancy, co każe się domyślać, że mowa tu o pasie granicznym francuskiej części Lotaryngji, która niedawno temu zwracała na się szczególną a nieżyczliwą uwagę szowinistów niemieckich. Z tego atoli nie można jeszcze wyprowadzać wniosku, aby pogłoska owa była zupełnie bezpodstawna. Warto jednak uprzedzić, że w obecnej porze epidemji trzeba w ogóle być przygotowanym na różne „zajścia graniczne“. Cholera ma dotychczas dwa centra swego rozwoju: Rosję i Francję. Niepodobna przypuszczać, aby rządy, nieżyczliwe jawnie dla obu tych państw, a w szczególności rządy mocarstw, tworzących przymierze potrójne, nie miały dopuścić się pewnej przesady w środkach zapobiegających przeniesieniu zarazy w ich granice. Obok zarządzeń, najzupełniej usprawiedliwionych, zarówno my, jak i Francuzi, winniśmy oczekiwać też zarządzeń tego rodzaju, które charakteryzuje dosadnie język francuski *vexatoires*. Niemcy, Austro-Węgry i Włochy, nie omieszkają oczywiście skorzystać z okazji, celem wzmocnienia na granicy dozoru ściśle politycznego, zamaskowanego wybornie potrzebą kontroli sanitarnej. Wszystko, co można będzie uczynić, by utrudnić przyjazd Rosjan i Francuzów do państw sprzymierzonych, prawdopodobnie będzie uczynione, a jak zwykle w takich wypadkach, urzędnicy niemieccy, austrjaccy i włoscy, okażą się „nadmiernie gorliwymi“. W takich warunkach bardzo prawdopodobne są nawet wypadki przekroczenia granicy przez żołnierzy, spełniających służbę na kordonie“.

Tego rodzaju „zajścia“ traktować należy koniecznie z zimną krwią, nie poddając się doraźnemu wrażeniu pierwszych, najczęściej przesadzonych pogłosek. Inne postępowanie byłoby wodą na młyn wszystkich niechętnych obu państwom, w których pojawiła się najpierw w Europie epidemja cholery. Wszystko, co się rzekło powyżej, dotyczy naturalnie tylko politycznej strony poruszonej tu sprawy. Ani nam przez myśl nie przyjdzie kwestjonować środków sanitarnych, jakie zastosować zechcą na swych granicach. Niemcy, Austrja i Włochy. Mają one nie tylko do tego prawo, ale jest to nawet ich obowiązkiem. Tego rodzaju środki ostrożności nie mogą i nie powinny budzić żadnych obaw politycznych, o ile wolne będą od pewnej tendencyjnej przesady i o ile organa wykonawcze trzymać się będą ściśle instrukcyj. Pragniemy gorące, aby warunku tego zechciały przestrzegać szczególnie władze niemieckie i włoskie od strony Francji. Francuzi, pouczeni doświadczeniem lat ostatnich, są niezmiernie drażliwi na t. z. „zajścia graniczne“, stanowiące pożądany zawsze materjał do alarmów ze strony większości ich prasy politycznej. Obecnie jak największa ogledność i umiarkowanie niemieckich i włoskich władz pogranicznych są tembardziej na miejscu, że nie stwierdzono dotąd ostatecznie, czy choroba, która pojawiła się w okolicach Paryża i podobno na prowincji, jest istotnie cholerą azjatycką“.

Korespondencje.

Paryż 25. lipca.

(Zatarg dyplomatyczny. — Cholera. — Rada miejska. — Oskarżenia ambasady niemieckiej. — Wyrodna matka — Leon Cladet.)

Zatarg *quasi* dyplomatyczny pomiędzy rządem francuskim, a ambasadorem wyspy Haiti, wywołany pewnym frazesem prokuratora w procesie pani Raymond, frazesem, który obraził obywateli królowej Honolulu, nie przestaje być celem żartów ze strony prasy paryskiej. Dowcipny kronikarz jednego z dzienników bulwarowych opowiada następujący żart. Prokurator oskarżał pewnego oszusta: Panowie! — zawołał, zwracając się do sędziów — człowiek ten jest „Grekiem“ z zawodu. Brzydki on, jak „Japończyk“. Ubiera się, jak „włoski“ bandyta, żyje jak „cygan“. Wychowanie odebrał czysto „sabaudzkie“, zachowuje się tutaj istnie po „amerykańsku“. Objawia chciwość „Araba“, upija się jak Bella, który był, jak wiecie, największym pijaczyną ze wszystkich królów węgierskich, a w dodatku mówi po francusku, jak krowa hiszpańska. Zasłużył na to, aby mu brzuch rozpruto, według mody, panującej w Chinach, lub żeby go na pal wbito, jak to się praktykuje w Turcji. Przemówienie prokuratora — ciągnie wesoły kronikarz — wywołało powszechne oburzenie w sferach dyplomatycznych. Ambasadorowie Włoch, Japonji, Turcji, Stanów Zjednoczonych, Węgier i t. d. wystąpili z reklamacjami. Noty dyplomatyczne sypią się na głowę ministra spraw zewnętrznych, p. Ribot, który zmordowany ciężkiem zadaniem złagodzenia tylu zatargów, stał się podobnym do zmoczonego śledzia holenderskiego, co podobno pobudziło ministra Niederlandów do zażądania eksplikacji.

U nas bo wszystko, nie wyłączając nawet cholery, przybiera barwę polityczną. Jesteśmy więc świadkami zaciętej walki pomiędzy zwolennikami tak zwanej cholery *nostras*, czyli choleryny, a cholery właściwej, czyli azjatyckiej. Do pierwszej kategorji należą dzienniki, sprzyjające rządowi, do drugiej zachowawcy, klerykalni, bulanżyści i socjaliści, w ogóle wszelkie żywioły opozycyjne, zwalające naturalnie i winę szerzenia się cholery na rząd dzisiejszy. Co prawda, rzeczą jest zupełnie obojętną, jak nazwiemy tę chorobę. Faktem jest tylko, że odznacza się ona charakterem bardzo złośliwym. Natomiast o epidemji nie może być mowy; dotychczas bowiem stwierdzono w Paryżu i okolicy wszystkiego nie więcej niż 100 wypadków zasłabnięcia, z których 69 zakończyło się śmiercią. Zresztą i napaści na rząd z tej przyczyny nie są tak pozbawione podstawy, jakby się to mogło zdawać na pierwszy rzut oka, chociaż przedewszystkiem powinny się one zwracać nie przeciwko p. Loubet'owi i towarzyszom, lecz przeciwko radzie miejskiej.

Szanowne to ciało, zamiast pilnować swego kopyta i zajmować się sprawami miejskiemi, z dawien dawna bawi się w wielką politykę, daje wskazówki na polu rządzenia państwem, a przedewszystkiem prowadzi zaciętą walkę z Kościołem i jego organami. W obec tego nie można się dziwić, że sprawy miejskie leżą odłogiem, że pod wielu względami Paryż pozostał w tyle po za wszyskiemi prawie innemi stolicami Europy. Mianowicie tak paląca w obecnych czasach kwestja usuwania nieczystości miejskich od dawna daremnie oczekuje rozwiązania. Nieczystości Paryża w bardzo nieznacznej części służą do nawodniania pól, w przeważnej zaś części bywają poniżej Paryża wpuszczane do Sekwany. Ogromne massy tych nieczystości osadzają się mianowicie latem przy płytkiej wodzie na licznych półwyspach i wysepkach i zabójczemi swemi wyziewami zatruwają powietrze na kilka mil w około. Nie grzeszy też zbytnią przesadą twierdzenie jednego z tutejszych najwybitniejszych lekarzy, dra Menier'a, że Sekwana w obrębie i poniżej Paryża posiada obecnie wszelkie własności, wytwarzające z rzek indyjskich stałe rozsadniki cholery.

Lecz nie dość na tem. Wody z tej wielkiej gnojówki, jaką jest Sekwana, używą do picia znaczna część mieszkańców Paryża i wszyscy mieszkańcy okolic podmiejskich. Nie wierzę wprawdzie pogłoskom, jakoby większość ojców miasta była przekupiona przez fabrykantów wód mineralnych i drobnych filtrów publicznych i dla tego była przeciwną zaopatrzeniu miasta w czystą i zdrową wodę do picia.

Obojętność jednak czy niezaradność paryzkiej rady miejskiej w sprawach, dotyczących zdrowotności miasta przechodzi wszelkie granice i wywołuje coraz większe oburzenie pośród ludności. A położenie w przyszłości zapowiada się coraz groźniej. Sekwanę zatruły już odchody z 27.000 domów, dotychczas skanalizowanych. Można sobie wyobrazić, jakie będą panowały warunki, skoro będzie ukończona kanalizacja 120.000 dalszych domów Paryża i okolic podmiejskich. Ponieważ dla braku odpowiednich gruntów w okolicy Paryża trudno myśleć o urządzeniu pól irrygacyjnych na wielkie rozmiary, przeto nie pozostanie nic innego, tylko zgodzić się na projekt, opracowany już dawno przez inżyniera Hennequin'a, dążący do odprowadzania nieczystości Paryża do morza. W tym celu ma być zbudowany wzdłuż Sekwany aż do samego morza podziemny kanał. Wody, potrzebnej do spławiania odchodów, dostarczy kilka rzek pobocznych Sekwany, które, zamiast do tej rzeki, będą wpadały do kanału. Wykonanie tego olbrzymiego projektu wymaga, rzecz jasna, znacznego kapitału i z tego względu napotyka dotychczas stanowczy opór w radzie miejskiej. Opór ten jednak ucichnie pod naciskiem opinji publicznej, domagającej się coraz natarczywiej zarządzenia środków, mogących polepszyć wprost rozpaczliwe dzisiaj warunki hygieniczne Paryża.

I na innem polu paryzka rada miejska jest w obecnej chwili przedmiotem słusznych zarzutów. Bezpieczeństwo publiczne w Paryżu, a więcej jeszcze w okolicach podmiejskich w ostatnich czasach wiele pozostawiało do życzenia. Liczba policjantów ani w części nie odpowiadała potrzebie, i ta nieznaczna liczba była licho płatna, a tem samem niechętna. Rada miejska jednak tak długo opierała się zmianie na tem polu, aż doprawadziła do zatargu z rządem. Na mocy bowiem przysługującego mu prawa prefekt Sekwany nakazał wpisać do budżetu miasta kredyt potrzebny na powiększenie policji i podniesienie jej płacy. W ratuszu powstało silne oburzenie na to rzekome nadużycie. Przez czas jakiś radykalna większość nosiła się z myślą zbiorowego ustąpienia. Powszechne zadowolenie, z jakiem powitała opinia publiczna tę wiadomość, skłoniło jednak ojców miasta do zaniechania pierwotnego zamiaru i chwycenia się innej taktyki. W celu więc zjednania sobie sympatji policjantów, uchwalono na ostatniem zebraniu kredyt, potrzebny na podniesienie płacy, natomiast odrzucono kredyt na powiększenie liczby policjantów. Ponieważ jednak prefekt w imieniu rządu domaga się całego kredytu, przeto zatarg dotychczas nie jest jeszcze zażegnany. Być więc może, że rząd przez pewien przeciąg czasu obejmie zarząd miasta. Byłaby to najlepsza droga wyjścia, przeciwko której, z wyjątkiem radykalnych przyjaciół rady miejskiej, niktby nie podniósł głosu w całym kraju.

Znośny od niejakiego czasu stosunek rzeczypospolitej do Niemiec, zaczyna się obecnie pogarszać. Z powodu uwięzienia podejrzanego o zdradę stanu urzędnika marynarki Loiseleur'a i rzekomej jego wspólniczki, Niemki, Elizy Schmidt, niektóre dzienniki tutejsze z *Gaulois* na czele, napadają gwałtownie na tutejszą ambasadę niemiecką, zarzucając jej systematyczne szpiegowanie i inne machinacje na niekorzyść Francji. Tymczasem śledztwo nie wykryło żadnych innych dowodów winy Loiseleur'a, prócz jego samochwalstwa. U jego zaś wspólniczki nie znaleziono żadnych tajemnic wojskowych, lecz kilka przedmiotów srebrnych, które skradła swemu poprzedniemu panu. O zdradzie więc nie ma mowy; mimo to nie ustaje rozgoryczenie prasy tutejszej na Niemców, a zwłaszcza na obecnego ich reprezentanta w Paryżu, br. Münster'a.

W sądach tutejszych toczył się sensacyjny proces, wywołany testamentem niejakiej pani d'Yvon. Pani d'Yvon z pierwszego męża, Smitha, miała córkę jedynaczkę, Fryderykę. W r. 1856 romantyczna ta panienka zakochała się w ubogim szlachcicu, nazwiskiem de Trégomain. Nie uzyskawszy od matki zezwolenia na ślub z ukochanym, opuściła dom macierzyński i schroniła się w klasztorze, a następnie, doszedłszy do pełnoletności, połączyła się dozgonnym węzłem z wybranym. P. de Trégomain zginął śmiercią zaszczytną w roku 1871, w bitwie pod Mans. Pani Trégomain, popadłszy w ubóstwo, nadaremnie błagała matkę o przyznanie jej szczupłej pensji na życie. Rozbroić nie mogąc zagniewanej matki, w roku 1873 udała się do sądu. Przed trybunałem pani d'Yvon oświadczyła, że pani Trégomain nie jest jej córką, ale dzieckiem znalezionem, które odkryła niegdyś w „workhause“ (w domu przytułku dla ubogich) hrabstwa Sussex w Anglji i wzięła na wychowanie. Pani d'Yvon poparła swoje zeznanie świadectwem lekarskiem, dowodzącem, że nigdy matką nie była. Córka jej atoli za pomocą świadków wykazała, że opowiadanie pani d'Yvon jest wymysłem. Obrońca jej przytem zapytał się, czemu pani d'Yvon śmiała niegdyś sprzeciwiać się małżeństwu dzisiejszej pani de Trégomain, jeżeli ta nie była jej córką.

Sąd nie raczył uwzględnić zeznania pani d'Yvon. Pani de Tregomain w trzech instancjach sprawę o alimenta wygrała. Upłynęło lat przeszło piętnaście. Wyrodna matka umarła, wydziedziczając córkę na rzecz przyjaciela, pana Challier de Grandchamp. I znowu musiała się nieszczęśliwa pani de Tregomain procesować. Sprawa toczyła się w tych dniach i ukończyła się wyrokiem, na mocy którego pani de Tregomain odbierze tę część spadku, która należy się jej z prawa. Pan de Grandchamp wprawdzie dowodził, że skarżąca, — nie będąc dzieckiem zmarłej — nie ma prawa do spadku, ale sąd opierając się na dawnych wyrokach z roku 1873, nie chciał wdawać się w rozprawy nad pochodzeniem pani de Tregomain. Spadek dwumiljonowy przeszło w większej części do niej więc będzie należał.

W willi swej podmiejskiej umarł w tych dniach literat i dziennikarz, wprawdzie nie pierwszorzędny, ale nie pozbawiony talentu, obdarzony przy tem szczególną energją, bez której z pewnością nie zająłby nigdy miejsca wśród przedstawicieli prasy nadsekwańskiej. Leon Cladet, syn siodlarza, urodził się w Montanban w r. 1855, do szkół uczęszczał w Tuluzie, ale skoro tylko złożył egzamin dojrzałości, pospieszył do Paryża, który go nęcił od dawna. Do stolicy przybył młodzieniec z próżną kieszenią, z sercem, wezbranem nadzieją i piórem, mającem mu dać sławę i majątek. Ale żaden może ze współczesnych mu pisarzy nie zaznał cięższych początków. Rok cały pełnił obowiązki smarowoza w jednym z dworców kolejowych Paryża. Następnie służył — w szlachtuzie. Tam go poznał poeta Baudelaire i wziął pod swoją opiekę. Pierwsza próbka literacka Clateda „Les Martyrs ridicules“ ujrzała nareszcie światło dzienne. Podwoje różnych przeglądów: „Le Boulevard“, „Le Nain Jeaune“, „La Revue française“ otworzyły się teraz przed dawnym czeladnikiem z szlachtuza. Cladet wydał liczne powieści, nieznane publiczności naszej, ale mające chętnych czytelników we Francji. Najważniejsza „Les Va-nu Pieds“ zalicza się we Francji do cenniejszych współczesnych utworów beletrystycznych.

Z naszych zdrojowisk.

Lubień 26. lipca.

(*m.*) Tegoroczny sezon kąpielowy, według sprawozdań, nadesłanych z pierwszorzędnych naszych zdrojowisk krajowych jakoś nie dopisał. Wszyscy sprawozdawcy kąpielowi uskarzają się na deszcz i na brak gości... Wyjątkowo do wyjątków należy Lubień, gdzie prawie wszystkie pomieszkania w zakładowych budynkach są zajęte, a nadto izraelici w pokaźnej cyfrze ulokowali się na wsi, gdzie im wygodniej, gdyż nie potrzebują tak bardzo zważać na toaletę!

O zakładzie, kąpielach, rozmaitych ulepszeniach i upiększeniach, napiszę przy najbliższej sposobności, obecnie chciałbym choć w kilku słowach opisać wam, jak się tutaj bawimy i zachęcić niejednego i niejedną do przybycia tutaj z 1. sierpnia. Pomimo, że deszcz pada już dwa dni, nikt z nas nie narzeka, nikt się nie nudzi, wszysy mają miny wesołe. A dla czego? Bo się doskonale bawimy. Całe towarzystwo trzyma się razem, panien i młodych mężatek pod dostatkiem, to też każdy, ktoby nawet nie chciał, śmiać się i żartować musi, zapomnieć o reumatyzmie i jeżeli nie tańczyć, to przynajmniej bawić rozmową płeć piękną.

Jeżeli pogoda, to popołudniu odbywa się krokiet, druga partja gra w obręcze, a wieczorem gremjalna wycieczka do parku przy świetle bengalskiem, żywe obrazy, śpiewy i t. d. i t. d. Jeżeli znowu deszcz, to całe towarzystwo zbiera się w sali balowej, na poczekaniu aranżuje się wieczorek humorystyczny, przeplatany muzyką i śpiewem — tak, że nie ma czasu nudzić się i rozpaczać. Na pomysłach nam nie zbywa... Cóż łatwiejszego, jak wymyśleć jakieś imieniny. Zamawia się muzykę, układa się wspaniały bukiet, a gdy i powinszowanie wierszem na wielkim arkuszu papieru napisane, wszyscy spieszą do wrzekomej solenizantki, zmuszając ją do zastawienia dobrego śniadania. Nic nie pomagają wszelkie tłumaczenia, „że imieniny moje nie dziś, ale aż dopiero w grudniu“, wszyscy gratulują, muzyka gra krakowiaka i figiel udał się doskonale. Takie to sfingowane imieniny wyprawiono wczoraj pani ***, która jest duszą całego towarzystwa, zawsze wesoła i rezolutna, ciesząca się ogólną sympatją. Jest więc recepta na deszcz, który przecież musi kiedyś przestać, tembardziej, jeżeli się przekona, iż nic sobie z niego nie robimy.

W niedzielę odbył się wieczorek z tańcami, na który przybyło mnóstwo osób z okolicy, a Lwów dostarczył danserów — cyklistów. Bawiono się wybornie do godziny 3. rano. Wielki doroczny bal lubieński zapowiedziany jest na dzień 7. sierpnia, a jest wszelka nadzieja, że uda się wybornie.

Komitet uchwalił zaprosić także członków lwowskiego „Sokoła“. W tych dniach urządza tutaj koncert p. Wilhelm Czerwiński, przy udziale kilku sił amatorskich, bawiących w Lubieniu. Przed kilkoma zaś dniami produkowała się pewna prowincjonalna artystka dramatyczna, licząca około lat sześćdziesiąt i kilka i to w roli „naiwnej“, ale bez sukcesu.

Z prowincji.

Dolina 25. lipca. (*Wieczorek muzykalno-deklamacyjny.*) Zarząd doliniańskiego Kółka towarzystwa „Szkoły ludowej“ urządził w dniu 2. lipca b. r. własnemi siłami artystycznemi wieczorek muzykalno-deklamacyjny.

Wieczorek rozpoczął prezes Kółka p. dr. Dobrow. odczytem, w którym dał ogólny pogląd na rozwój szkolnictwa ludowego w Polsce po dzień dzisiejszy, przedstawił w głównych zarysach cele i zadanie nowopowstałego towarzystwa i zakończył zachętą do czynnego współudziału w pracy nad oświatą i uobywatelnieniem naszego ludu. Wszechstronna znajomość przedmiotu, wykwintna forma zewnętrzna i bogactwo treści cechowały tę prelekcję.

Dalszą część programu wypełniły panie: Ber., Dobr., Gaj., Gum. i Jan. i panowie: Hlad., Horb., Iw., Rei. i Schr.

Polonez Kurpińskiego „Witaj królu“ odegrali w tercecie (skrzypce i fortepian (panowie Hlad. i Schr. i panna Jan. z należytą werwą.

Pani Dobr. odśpiewała z wdziękiem uroczą „Piosnkę o piosence“ Kratzera, a na żądanie publiczności utwór nadprogramowy przy akompaniamencie panny Ber.

Dowody głębokiego poczucia muzykalnego i znacznej biegłości złożyła panna Gum., wykonaniem solo na fortepianie „Fantazji“ Lubowskiego Zdanie krytyka podzielali słuchacze, darząc młodą koncertantkę oklaskami tak długo, dopóki nie podziękowała „Czardaszami“ Brahmsa. Osobliwie ten drugi utwór dał nam poznać w pannie Gum. wcale nie przeciętną siłę muzykalną.

Poprawną interpretacją odznaczała się deklamacja panny Gaj. (Przed sądem“ Konopnickiej.)

Dzielnym cytrzystą okazał się pan Iw. w „Unvergesslich“ Umlaufa, „Im Kastanienhain“ Schablassa i w solowym „Wieńcu pieśni polskich i ruskich“. Zupełne panowanie nad instrumentem, spokój i elegancja w uderzeniach i przejęcie się tematem zjednały panu Iw. pełne uznanie publiczności.

Duetem „Echa z Tyrolu“ Hafki, obdarzył nas p. Schr. na skrzypcach przy akompaniamencie panny Jan., żałujemy tylko, że wybór padł właśnie na ten utwór, pod względem kompozycji bezbarwny.

Piękny, choć jeszcze nie całkiem wyrobiony materjał głosowy odkryliśmy w panu Horb., który w romanzy „Nieprawdaż to?“ (T. Mattei), zdradził sporo warunków dobrego solisty.

Pan Rei. wygłosił poemat Kornela Ujejskiego „Ze starej teki“.

Całość koncertu wypadła wcale udatnie i z uczuciem zupełnego zadowolenia opuszczaliśmy salę.

Nawet uprzedzeni przekonali się o tem, że przy szczerych chęciach i wytrwałej pracy można zdziałać wiele, choćby w krótkim czasie; to też serdecznie życzymy młodemu Kółku więcej takich sukcesów, a publiczności naszej więcej takich wieczorków. (*Bezstronny.*)

(*S. M.*) **Delatyn** 27. lipca. (*Wylew Prutu.*) Dwudniowy prawie bez przerwy padający deszcz spowodował, iż górskie potoki tak silnie wezbrały i taką masę wody do Prutu sprowadziły, iż tenże wystąpił z koryta, a rozlewająca się woda na prawo i lewo, podmuliła brzegi, zabierając z sobą krzaki, drzewa z korzeniami, płoty, parkany, a nawet budynki. Drzewo budulcowe nagromadzone przy brzegach Prutu, tudzież już pobijane tratwy, które wyczekiwały wyższego stanu wody dla spławu, zachwycone raptownym tym spiętrzeniem się wody, zostały uniesione.

Prut, rzeczka ta w zwykłych warunkach dość niepokaźna, przybrała groźne rozmiary, a spiętrzone fale wyrzucały co chwila kilku, a nawet więcej metrowy budulec, kloce i inne odpady materjałów na brzegi, gdzie mniej zamożni włościanie hakami i innemi przyborami, drzewo po brzegach wyławiali, unosząc je do domów.

Zabudowania bliżej wpływającej do Prutu rzeczki Lubierni, znajdowały się w wielkiem niebezpieczeństwie, gdyż i ten wcale na pozór niestraszny potoczek, rozigrawszy się, zabierał z sobą, co mu tylko w drodze opór stawić usiłowało.

Pomimo tak groźnego wystąpienia wody, oprócz rozniesionych płotów i parkanów, tudzież zabranego z brzegów budulcu, mieszkańcy znaczniejszych strat nie ponieśli. Jeden tylko dom mieszkalny padł ofiarą tego rozsrożonego żywiołu, a chociaż w oczach setek ciekawych, woda budynek ten częściowo i w dość długich po sobie następujących odstępach czasu rozbierała, to jednak wszelki ratunek budynku był niemożliwym, gdyż przystęp do tegoż z powodu coraz gwałtowniej urywających się brzegów, był niedopuszczalnym.

Skarbowy skład drzewa opałowego, znalazł się w wielkiem niebezpieczeństwie, gdyż woda podmuliwszy parkan, wdarła się już do środka i byłaby z pewnością uniosła cały, około 2000 m. prz. łupek bukowych, tam nagromadzony zapas, gdyby nie energiczne i natychmiastowe zarządzenia środków skierowania prądu w stronę, mniej dla składu szkodliwą.

Tartak skarbowy nietykalność swą zawdzięcza tylko przypadkowi, bo chociaż skrzydła śluz wpustowych mocno zostały naruszone, to jednak zastawa zamuliła się gałęziami i drzazgami drzew naniesionych, tak silnie, iż uformowała wał ochronny, który prąd wody od młynówki skierował, zabezpieczając nietylko sam budynek, ale i cały przeszło 2500 sztuk wynoszący zapas kloców przed tymże tartakiem deponowany.

KRONIKA.

Kalendarz. Poniedziałek (1.): Piotra w Okowach. Wschód słońca o godz. 4. min. 41, zachód o godz. 7. min. 29.

„Sokół“ stanisławowski wydał następującą odezwę: Za inicjatywą dobrze zasłużonego męża dla miasta Stanisławowa, dr. Ignacego Kamińskiego, zawiązane zostało w Stanisławowie towarzystwo gimnastyczne „Sokół“, które z chwilą obecną przeszło 300 członków czynnych liczy. „Ojczyzna zdrowych potrzebuje i potrzebować będzie synów“, to też celem „Sokoła“ jest, podać młodzieży sposobność do pokrzepienia i wydoskanlenia swoich sił fizycznych, za pomocą ćwiczeń gimnastycznych, albowiem w zdrowem tylko ciele, mogą siły umysłowe swobodnie się rozwijać. Jak dalece myśl utworzenia takiego towarzystwa znalazła ogólny oddźwięk w kraju, świadczy powszechny i niespodziewany jego wzrost i rozwój, albowiem nie ma prawie miasta większego w kraju, gdzieby ono w całej pełni już nie prosperowało, lub miasteczka, gdzieby zawiązek „Sokoła“ dotąd nie powstał. Wszelako jak każdy dzisiaj humanitarny lub filantropijny cel wymaga niezbędnie pomocy materjalnej, tak i „Sokół“ stanisławowski zniewolony jest odezwać się w tym względzie do ofiarności ogółu Przedewszystkiem bowiem daje się czuć brak sali gimnastycznej z odpowiedniem urządzeniem, w którejby licznie zgłaszająca się młodzież obojga płci i stali członkowie odbywać mogli ćwiczenia. Otóż w celu przysporzenia środków na wybudowanie własnej takiej sali, uchwalił wydział urządzić na początku miesiąca września bieżącego roku festyn, połączony z „kiermaszem“, na którym sprzedawane będą wyłącznie tylko wyroby krajowe — niniejszem przeto odzywa się wydział najuprzejmiej do wszystkich dla „Sokoła“ przychylnie usposobionych osób, ażeby raczyły na dniu osobnem zaproszeniem oznaczyć się mającem, zebrać się licznie w Stanisławowie, w ogrodzie, „Szadbejówka“ zwanym, wziąć udział w urozmaiconych zabawach i tym sposobem poprzeć sprawę „Sokoła“ i równocześnie przemysł krajowy.

Tragedja miłosna. Świeżo w Foggia rozegrała się przygoda miłosna, która uwagę całych Włoch zwróciła na siebie. Młody, bogaty wice-hrabia Francesco Donadoni oddawna już postarał się o względy posągowo pięknej Tommasiny di Lalla, córki skromnego właściciela zajazdu na Vico Garganico. Szesnastoletnia Tommasina słynęła z piękności na całą prowincję; młodzież tłumnie ubiegała się o jej rękę, ubiegała jednak daremnie, dziewczyna bowiem odmową przyjmowała najczulsze oświadczyny. Odpowiadała wszystkim, że za młodą jeszcze była, że nie pragnie wychodzić za mąż, a tymczasem spędzała czas na miłostkach z wice-hrabią. Ten ostatni — jak to się zwyczajnie w tych warunkach dzieje — obiecywał żenić się z nią, ale nie miał zupełnie zamiaru dotrzymać obietnic, chwalił się nawet, gdzie mógł, względami dziewczyny, narażając ją na pośmiewisko. Aż oto i odebrał zasłużoną nagrodę. W dniu 19. bm., przechodząc ulicą, napotkał kochankę: „***Buena sera signore!***“ — rzekła, zatrzymując wice-hrabiego dziewczyna — czy nie mogłabym słówka z panem pomówić?“ — „Precz z drogi!“ — brzmiała odpowiedź. Ale Tommasina nie usłuchała rozkazu. — „Czy zwrócisz mi cześć wydartą?“ — pytała dalej śmiało. — „Nie!“ — odparł wice-hrabia. — „Nie ożenisz się zatem ze mną?“ — „Nie!“ — „A więc, dowiedz się — zawołała dziewczyna — że, mimo stanowiska swojego, nicponiem jesteś tylko, nicponiem, nie zasługującym na życie. „***Buena sera signore!***“ — co rzekłszy, Tommasina długi sztylet wbiła w piersi wice-hrabiego, zadając mu śmiertelną ranę. Po dokonanej zbrodni, ze śmiechem na ustach, dziewczyna oddała się w ręce sprawiedliwości.

Dziwotwór. W Erywaniu w pewnej rodzinie ormiańskiej, urodziło się dziecko płci żeńskiej — potworek. Ma ono dwie głowy zrośnięte ze sobą tylną częścią, tak, że twarze są zwrócone w przeciwne strony, obie głowy silnie spłaszczone i wyciągnięte, przy tem dodatkowa jest tak miękka, że górne i dolne jej części, które się nie zrosły z głową normalną, mogą być z łatwością odciągane, a wtedy głowa przybiera formę trójkąta, a część górna, gdy dziecko siedzi, obwisa nieco na dół. Rysy normalnej twarzy drobne, spłaszczone, kości brwiowych nie ma, a czoło jest silnie w tył posunięte. Twarz głowy dodatkowej nie zupełnie się sformułowała; zamiast oczu i nosa — plamy czerwone ze skórą ściągniętą i pomarszczoną, zamiast ust — maleńki otwór okrągły bez żadnego znaku warg, ani podbródka; ani szyi, ani też uszu głowa nie posiada, lecz jest pokryta tak, jak i pierwsza, włosami. Uszy głowy pierwszej wyciągnięte i zaostrzone, są w ogólnych konturach podobne do uszów zajęczych. Pozostałe części dziecka są prawidłowe.

Fryzjer kawalerem legji honorowej. Dzienniki francuskie wytrwale domagają się od rządu, aby zaszczycił orderem legii honorowej słynnego dzisiaj Denziera, fryzjera zakładu kąpielowego w Saint Gervais. Dzielny ten człowiek w czasie pamiętnej katastrofy uratował życie przeszło 30 osobom. Wolno przypuszczać, iż żądaniu opinji stanie się zadość.

Ironja losu. Mr. Farnum Fish, najbogatszy właściciel kopalni w Pensylwanji, zmarł wraz z kilkoma towarzyszami wśród solnej pustyni w Colorado. Przyczyną śmierci był — brak wody....

Do wiadomości komisji sanitarnej! W kamienicy pod l. 9. przy ul. Kopernika odbywa się codziennie oryginalny proceder wylewania wprost na podwórze i to z ganku drugiego piętra, wszelkich nieczystości. Jeżeli w czasach zwyczajnych podobne postępowanie spotkać się winno z opozycją powołanych ku temu organów, to obecnie, gdy widmo cholery coraz groźniejsze przybiera rozmiary — opozycja ta musi być stokroć energiczniejszą. Pomijamy już okoliczność, że często ktoś zupełnie niespodziewanie otrzymuje wcale niepożądany i wcale nie... wonny prysznic, a nawet z tego powodu — jak nam wiadomo — wpłynęło w ostatnich dniach do dyrekcji policji pewne zażalenie. Ciekawa rzecz, jak ta sprawa zostanie rozstrzygniętą.

Z bruku oprócz kilku drobnych kradzieży, przestępstw dorożkarskich i małych awantur, zwykłych w czasie tygodniowej wypłaty robotników, nie ma nic do zanotowania.

Sci rumunyesce? („Czy mówisz pan po rumuńsku?") zapytał we Wiedniu pewien włościanin, członek delegacji rumuńskiej, bawiącej w swoim czasie w stolicy nad modrym Dunajem, eleganckiego staruszka, zajmującego obok niego miejsce w tramwaju. W odpowiedzi na to, niewinne zresztą pytanie, wypoliczkował elegancki staruszek biednego włościanina i w najwyższej pasji opuścił wóz tramwajowy. Po chwili dopiero spostrzegł wypoliczkowany delegat, iż gwałtowny towarzysz przejażdżki zabrał mu — zapewne przez zapomnienie — portmonetkę z kieszeni.

Pieszy turysta. Przez dwa dni zatrzymał się w Warszawie turysta pieszy, p. Józef Stanisławski, kandydat nauk fizyko matematycznych, zajmujący się nauczycielstwem prywatnem. Pan St. przedsięwziął ogromną wycieczkę pieszą, wyszedł bowiem w dniu 27. czerwca z Kamieńca Podolskiego. Zamierzona marszruta obejmuje: Berlin, Drezno, Paryż, Wiedeń, Peszt, Kraków i Lwów. Turysta obliczył, że cała ta wyprawa zajmie mu czas do listopada. Przeciętnie pan St. przebywa na dobę, bez wielkiego zmęczenia, 7 mil, zatrzymywać się zaś będzie tylko w większych miastach po dni parę.

Z głodu. W Wilnie podczas oględzin sanitarnych, w domu pofranciszkańskim, w kącie starej szopy, zarzuconej belkami i deskami, znaleziono człowieka, którego wygląd grozą przejmował patrzących. Leżał on na ziemi, w stanie strasznego wycieńczenia, włosy miał najeżone, a wzrok na pół obłąkany. Gdy go podniesiono, wyglądał jak istny szkielet i nie mógł się na nogach utrzymać. Nieszczęśliwy ów człowiek zeznał, że nie mając krewnych, ani znajomych i nie mając żadnego zajęcia, ani kąta, postanowił zagłodzić się i w tym celu wszedł do owej szopy, gdzie przeleżał 4 dni bez żadnego pożywienia. Nędzarz zeznał, że jest mieszczaninem wileńskim, Stanisław S. F. A. Umieszczono go w szpitalu Sawiczą.

Co może oszczędność. W tych dniach na cmentarzu w Brudnie pochowano Antoninę Sz., staruszkę, liczącą 89 lat wieku. Nieboszczka była od najmłodszych lat gospodynią, czyli, jak dawniej nazywano, szafarką w rozmaitych pensjonatach żeńskich w Warszawie. W ostatnich czasach, będąc już podupadłą na siłach, otrzymała schronienie u pani D., niegdyś przełożonej pensji. Wszyscy mniemali, że eks-szafarka jest zupełnie biedną. Tymczasem po śmierci staruszki znalazł się testament, wskazujący, że oszczędna kobieta, ciułając przez lat kilkadziesiąt grosze, doszła do kapitału 17.600 rubli. Z tych pieniędzy Sz. zapisała 10.000 rubli wnuczce swej dobrodziejki, pani D., a resztę przeznaczyła na wybudowanie kaplicy na cmentarzu brudzieńskim, w której podziemiu życzy sobie być pochowaną.

Okręt ze złotem. W Bałakławie przystąpiono do wydobywania francuskiego okrętu, naładowanego złotem, który w roku 1855 zatonął.

Dla ślepych. Dr. Montprofit w Angers miał niedawno odczyt o wychowaniu ślepych, zwłaszcza o nowej, wynalezionej przez pannę Mulot metodzie uczenia ich sztuki pisania. Do sali wprowadzono kilkoro dzieci od lat 6 do 12. które zachwyciły słuchaczy. Czytały one, pisały, robiły na piśmie zadania arytmetyczne, odczytywały zdania, podyktowane pod ich nieobecność, wreszcie najstarsze odczytywały pismo ludzi widzących. Wynalazek panny Mulot przedstawia się w postaci pewnego rodzaju ramek miedzianych, podzielonych w taki sposób, że uczeń za pomocą podziałek może się orjentować. Dzięki tej metodzie, 2 dziewczynki mogły z powodzeniem stanąć do egzaminu z kursu szkół elementarnych; złożyły one swoje dyktanda tak czytelne, jak i pismo innych kandydatek.

Dowcipny aktor. Niedawno dawano w teatrze niemieckim w Rydze farsę, pod tytułem: „Nasi donżuani". Do loży wchodzi „paczka" dobrze podochoconych Niemców, którzy zaczynają w najlepsze głośno rozmawiać. Artysta, będący na scenie, przerywa swój monolog i patrzy na lożę. Oczy publiczności zwróciły się również na wesołych jegomościów, którzy nie zwracając na to uwagi, prowadzą w dalszym ciągu rozmowę. Nareszcie dały się słyszeć wśród widzów okrzyki niezadowolenia, domagające się wyrzucenia z teatru rozmawiających panów. W tem artysta dobywa z kieszeni list zwracając się do loży mówi: — Przepraszam, ale zanim panowie skończą rozmowę, ja tymczasem przeczytam list, który właśnie otrzymałem od krewnych. I z temi słowy artysta siada sobie wygodnie na krześle. Wesoła paczka zawstydzona umilkła i opuściła lożę, a dowcipny artysta został wynagrodzony oklaskami.

Porozumienie się małżonków. *Zehlendorfer Wochenblatt* zamieszcza następujące ogłoszenie: „Wzywam niniejszem żonę moją, aby mi wieczorem, gdy wracam od roboty do domu, przygotowała jedzenie; albo, gdyby jej nie było w domu, wskazała miejsce, gdzie mogę je znaleźć." Sposób taki porozumiewania się małżonków — bądź co bądź — jest nowym.

Katastrofa w Sangir. Telegram gubernatora generalnego Indyj holenderskich z dnia 22. bm. donosi o wybuchu wulkanu na wyspie Sangir, położonej między wyspą Celebes i Filipinami. Podług ostatnich doniesień, w skutek ostatniego wybuchu Goenong Awora, poniosło śmierć 2.000 ludzi, wyłącznie krajowców. Północno-zachodnia część Wielko-Sangiru zupełnie zniszczona, pozostałe części mogą być w ciągu pół roku do porządku przywrócone. Zbiory zupełnie zniszczone, lecz liczne przesyłki żywności zapobiegają głodowi. Władze i miłosierdzie prywatne dokonywują cudów. Wyspy Sangir tworzą grupę mniej więcej 50 drobnych wysepek, razem 8.379 kilom. z 50—60.000 mieszkańców rasy malajskiej. Wyspy są górzyste, wulkaniczne, bardzo żyzne, pozostające pod własnymi naczelnikami, należą jednak do regencji holenderskiej Menado. Główna wyspa Wielko-Sangir liczy 25.000 mieszkańców. W roku 1856 wybuchły obecnie powtórnie wulkan zrządził w dniu 2. marca straszną katastrofę, w czasie której zginęło 6.000 ludzi.

Osły bohaterami. Nowojorska gazeta państwowa stadu osłów przypisuje głośne zwycięztwo pod Chattanooga, a opowiada rzecz, jak następuje: „Przed obozem jenerała unji Hookera znajdował się w roku 1863 park artylerji, obok zaś w pobliżu palisadą otoczony plac, na którym zamknięto około 300 osłów. Dopóki wszystko było w spokoju, osły zachowywały znaną swoją cierpliwość, skoro jednak nocą skonfederowani zaatakowali obóz, zwierzęta jęły uganiać jak szalone po zagrodzie, aż udało się jednemu przebić palisadę i dostać się na wolność. Wkrótce całe stado osłów opuściło zagrodę i w szalonym pędzie rzuciło się ku nieprzyjacielom. Ci ostatni, w przekonaniu, iż naciera na nich silny oddział kawalerji, podali tyły z takim pospiechem, iż cały tabor i 1600 armat pozostawili w rękach unjonistów. Tym sposobem osły zwyciężyły pod Chattanooga".

Cichy spólnik. — Jezus Marja, sam jeden zjadłeś calutką gęś?

— Ale gdzież tam — było nas dwoje.

— A kto?

— No, ja i gęś.

Teatr letni.

(*„Oj młody, młody!" krotochwila w 4 aktach J. A. hr. Fredry*).

Krotochwila Fredry syna p. t. „Oj młody, młody" po raz pierwszy na lwowskiej scenie przedstawioną była jeszcze w październiku roku 1883 i naturalnie odrazu zdobyła sobie powodzenie, jak zresztą wszystkie prawie komedje, noszące na sobie podpis Fredry. Nic w tem dziwnego. Krotochwila, łącząca w sobie humor prawdziwie polski, szczery, niewymuszony, rubaszny nawet miejscami, z werwą i lekkością francuską, inaczej zresztą przyjętą być nie mogła. Inna rzecz, co do wartości literackiej tego płodu znakomitego komedjopisarza.

W literaturze dramatycznej, krotochwila o wiele niższe zajmuje miejsce od komedji, inną też do niej przykłada się miarę, innych się od niej wymaga warunków. Jeżeli warunki te posiada, krotochwila jest dobrą, może być nawet doskonałą, ale zawsze pozostanie tylko krotochwilą. „Oj młody, młody!" posiada wszystkie warunki, kwalifikujące sztukę tę na bardzo dobrą krotochwilę. Cel główny, zabawa publiczności, osiągnięty w zupełności. Mało jest fars francuskich, które zdolne są tak rozweselić i zabawić widzów, jak właśnie ta Fredry syna.

Co do wczorajszego przedstawienia tej krotochwili na naszej scenie, to pod względem wykonania może się ono śmiało zaliczyć do najudatniejszych w czasach ostatnich. O grze artystów rozwodzić się dłużej nie będziemy, zaznaczyć jedynie wypada, że wszyscy w miarę sił swoich, grali jak najlepiej. Krotochwilę Fredry zapewne nieraz jeszcze ujrzymy na scenie, co nastręczy nam sposobność wdania się w szczegóły, dziś ograniczamy się na wyrażenia uznania dla całego ansamblu.

Teatr był pełny. W ostatnich czasach zaczyna to coraz mniej należyć do rzadkości.

Ostatnie wiadomości.

Warszawski Dniewnik donosi o dwóch wybuchach dynamitowych w Królestwie Polskiem mianowicie w powiecie będzińskim. Pierwszy wybuch nastąpił w nocy z dnia 15. na 16. b. m. we wsi Sielce, gminy Górna, w kancelarji dyrektora towarzystwa przemysłowo górniczego „hrabia Renard." Naboje dynamitowe, jak się pokazało, były położone zewnątrz budynku, pod ścianą, która też uszkodzoną została skutkiem eksplozji; wypadków nieszczęśliwych z ludźmi nie było. Wieczorem dnia 16. lipca podobny wypadek zdarzył się we wsi Strzeżowice gminy Bobrowniki. Nabój dynamitowy podłożony został pod okno mieszkania p. Edmunda Lindnera, kasjera kopalni węgla kamiennego „Andrzej," należącej do tegoż towarzystwa „hr. Renard." Wybuch nie zrządził żadnych szkód i z ludzi nikt też nie ucierpiał. Sprawcy zamachów nie zostali wykryci.

Pogłoski o zjeździe dwóch lub trzech cesarzy w Austrji, lub w granicach rosyjskich, nie potwierdzają się. *Magd Ztg.* powiada, że w kołach dobrze poinformowanych nic o tem nie wiedzą, a wiedziećby musieli, gdyby taki zjazd był rzeczywiście w planie. Zdaje się — tak pisze *Magd. Ztg.*— że te pogłoski wychodzą z tego samego źródła, z którego w ostatnim czasie tyle rozprawiano o zbliżeniu się Rosji do sąsiednich mocarstw, nie zastanowiwszy się nad tem, że do tego zbliżenia braknie wszelkich danych.

Cholera

Chemik miejski dr. Wąsowicz w dalszym ciągu wraz z całą komisję prowadzi badanie studzien w realnościach prywatnych. Z dotychczasowych badań okazało się, że prawie 90% tych studzien potrzebuje gruntownej rekonstrukcji. Lwów i tak bardzo ma mało wody w studniach publicznych, to też reparacja studzien prywatnych i przyprowadzenie ich do możliwego stanu, należy do piekących kwestyj.

Telegramy „Dziennika Polskiego".

Berlin 31. lipca. Powaga medyczna, dr. S. Guttmann, ogłasza w *Deutch. Med. Wochenbl.* dowody, że w okolicy Paryża już w początku kwietnia pojawiły się wypadki cholery azjatyckiej. Dr. Guttmann obwinia władze francuskie, że rozmyślnie taiły stan rzeczy, nazywając te wypadki zwykłą cholerą.

Paryż 31. lipca. Rząd zagroził radzie miejskiej rozwiązaniem, jeżeli natychmiast nie przystąpi do reorganizacji policji sanitarnej. Mimo wszelkich zaprzeczeń jest faktem, że cholera przybiera bardzo złośliwe rozmiary.

Telegramy „Dziennika Polskiego".

Wiedeń 31. lipca. W Iglawie aresztowano członka pruskiej izby panów, hr. Gendorffa za sprzeniewierzenie kwoty 100.000 zł. na szkodę pewnej firmy niemieckiej.

Hermanstadt 31. lipca. Zarządzenie pewnego rodzaju stanu oblężenia w części kraju najsilniej przez Rumunów zamieszkałej, wywołało wśród nich ogromne wzburzenie. Przewodnicy Rumunów siedmiogrodzkich agitują za wysłaniem deputacji do cara z prośbą o zajęcie się losem Rumunów. Sfery kompetentne sądzą, że rząd peszteński uwiadomił poufnie rząd bukareszteński o konieczności wprowadzenia stanu oblężenia.

Berlin 31. lipca. Dzienniki zaprzeczają oficjalnie pogłosce o wykryciu w Spandawie bandy dynamitardów.

Tutejsze pisma donoszą, że Wyszniegrodzki ustąpi już w najbliższym czasie.

Londyn 31. lipca. Londyński dziennik urzędowy ogłasza szereg odznaczeń i awansów, które uważane są już za zapowiedź zmiany rządu.

Petersburg 31. lipca. *Journ. de St. Peterb.* nazywa stracenie zpiskowców w Sofji hekatombą, o której wiadomość wywoła w całym świecie bolesne echo. Książę Koburgski, który tak przedłuża swój pobyt za granicą, nie uważał tego, widać za swój obowiązek, aby aktowi niesprawiedliwości przeciwstawić łagodność. Historja kiedyś wyda surowy sąd o dzisiejszych kierownikach rządów w nieszczęśliwym kraju bułgarskim.

Nowy Jork 31. lipca. Tutaj i w innych miastach Stanów Zjednoczonych, wiele osób uległo porażeniu słonecznemu z powodu upałów. Śmiertelność znaczna.

Wydawca: Józef Laskowski — Odpowiedzialny za redakcję Adam Krajewski — Papier z fabryki czerlańskiej. — Z Drukarni „Dziennika Polskiego," pod zarządem Franciszka Kattnera.